



137–138. Witold Gombrowicz
na krótko przed śmiercią,
zdjęcia ostatnie

Rozmowy z Gombrowiczem

Nie udało mi się spotkać z Czesławem Miłoszem. Podczas mojego pobytu w Paryżu w 1988 roku mineliśmy się; wyjechał trochę szybciej. Podczas jego pobytów w Polsce nie sposób było się do niego dopchać, albo najwyżej na krótko i w tłoku, a nie potrafię w takich warunkach pracować. Po prostu więc do niego napisałam, prosząc o udział w książce; o swoje wspomnienia o Gombrowiczu. Znajomi pukali się w czoło – na pewno ci nie odpisze! Nie odpowiada w ogóle na listy!

Ale chyba jednak nie na wszystkie, bo mnie odpowiedział. A ściśle, przesłał – przez swoją szwagierkę Grażynę Miłosz – następujący tekst:

26.06.1988

CZESŁAW MIŁOSZ, „Rozmowy z Gombrowiczem”:

Było mi przyjemnie usłyszeć teraz w Paryżu od Rity, że Gombrowicz w naszych rozmowach w Vence w 1967 roku był wyjątkowo rozluźniony, jak z żadnym innym literatem, i że ani nie starał się dominować, ani nie nastawiał się obronnie. Dostał wtedy nagrodę Formentor za „Kosmos”, ale, jak mówi Rita, nie znalazł we mnie zazdrości, tzn. szczerze cieszyłem się tym jego sukcesem. Wtedy, czyli w 1967 roku, sam sukcesami w Ameryce nie mogłem się pochwalić, mój pierwszy tom wierszy po angielsku ukazał się dopiero w 1973 roku. Czyli że nieźle obywałem się bez pochwał, choć oczywiście kiedy przedstawiono mnie na poetyckim wieczorze w Stony Brook wyłącznie jako tłumacza Herberta, było mi przykro. Wtedy też miałem jedno z moich (zawsze spełniających się) jasnowidzeń co do niektórych przyszłych wydarzeń.

Owe wiosny mieszkaliśmy z Janką w St. Paul-de-Vence, skąd do Vence samochodem już dwa kroki, również przez parę tygodni w domu pisarzy La Messuguière koło Grasse, skąd już do Vence trochę dłuższa podróż. W La Messuguière przez pewien czas mieszkał Gombrowicz i wspominano go ze zgrozą. Bo dumą tego domu są bardzo stare drzewa oliwne na tarasach pochylonych ku dolinie, a Gombrowicz powtarzał, że powinno się je ściąć, bo zastaniają mu widok.

Nasze rozmowy, zwykle we czwórkę, odbywały się albo w ich mieszkaniu na pierwszym piętrze w Vence, albo w kawiarni, albo u nas w St. Paul, albo na wy-

cieczkach w Préalpes samochodziem Deux Chevaux prowadzonym przez Ritę. Co Gombro pisze w „Dzienniku” o zadowoleniu ze swojej stabilizacji i względniego dobrobytu, jest prawdą, było to jednak bardzo skromne życie po latach zmagania, tak że jako profesor dużego amerykańskiego uniwersytetu przyjeżdżający do Europy na sabbatical, czułem się w porównaniu z nim uprzywilejowany.

Tematy naszych rozmów: przede wszystkim filozofia, do której nawracał z uporem, ściślej, do jednego tylko filozoficznego problemu, to jest istnienia świata poza naszymi percepcjami. Stałe twierdził, że nie możemy orzec, czy świat istnieje i jak istnieje, poza tym że istnieje w naszej świadomości. Descartes dopuszczał możliwość, że nasze zmysły nas mylą, ale uciekł od tej możliwości, przywołując na pomoc Boga, którego przecież nie należy uważać za złośliwego demiurga wprowadzającego nas w błąd. Gombrowicz miał mu to za złe, zarzucał mu tchórzostwo, nie dość radykalni byli też dla niego następcy Descartesa, tj. Kant i Husserl. Niestychanie mu zależało na obronie swego stanowiska, tj. zupełnego sceptycyzmu epistemologicznego, co chyba było mu potrzebne po to, żeby usunąć wszelką gwarancję, jakiej tradycyjnie dostarczał Stwórca czy Absolut, tak że istniała miara, którą można było zastosować do świata, żeby ustalić, co w nim ma być obiektywne. Nie przypominam sobie dobrze, żeby padło nazwisko Berkeleya, chyba z oczywistego powodu, bo dla angielskiego filozofa być, znaczyło być postrzeganym, czyli świat otrzymywał byt dzięki temu, że jest postrzegany przez Boga.

Nie potrafiłbym odtworzyć przebiegu naszych dyskusji. Sądzę, że musiała w nich powtarzać się moja stała skłonność do sprzeciwu wobec takich rozwiązań jak jego. To znaczy od dawna uważam, że argumenty przeciwko prawdziwości naszych percepcji są niepodważalne, i to na obu poziomach, bo z jednej strony nie można dowieść, że świat jest taki, jaki przekazują nam nasze zmysły, z drugiej, ilość światów subiektywnych, tworzonych przez poszczególne istnienia w ich zetknięciu z rzeczami, jest niemal nieograniczona.

Pozostaje jednak bardzo ważna różnica temperamentów filozoficznych, dwie zasadnicze ich grupy, i należeliśmy z Gombrowiczem do grup przeciwnych. Z pewnością wiek dwudziesty sprzyjał daleko posuniętemu sceptycyzmowi, natomiast u mnie odzywał się nadal Tomasz z Akwinu. Zresztą trzeba pamiętać, że jedynie założona zgodność działań naszego umysłu z prawidłami Natury umożliwiła zachodni przewrót naukowy i techniczny. Dla mnie pozostawało to kwestią nadziei, tak jak to przedstawiłem w poemacie „Świat”:

Nadzieja bywa, jeżeli ktoś wierzy,
Ze ziemia nie jest snem, lecz żywym ciałem,
I że wzrok, dotyk ani słuch nie kłamie.

Rozmowy nasze toczyły się głównie po francusku, ze względu na udział Rity, niekiedy po polsku. Gombrowicz raz powiedział: „Dziwne, kiedy mówisz po francusku, jesteś precyzyjny, kiedy przechodzisz na polski, robisz się mętny”.

Chyba miał większą dokładność francuskiego filozoficznego słownictwa czy też mój lepszy jego użytek.

Rzekłbym, że Gombrowicza obchodziła w pierwszym rzędzie filozofia jako przedmiot, o który można i warto się spierać, nie literatura. Polskim pisarzom zarzucał brak filozoficznego wykształcenia, natomiast modne wówczas we Francji szaty strukturalistyczne zdawał się traktować jako przejściową właściwość literacko-politycznego klimatu. W jakimś drukowanym wywiadzie wyliczył jednym tchem kilkanaście nazwisk teoretyków, wtedy branych bardzo poważnie. Zapytałem go, czy to wszystko naprawdę czytał. Zaśmiał się: „Któż by mógł to czytać?”. Czyli ta dziedzina należała dla niego do „im mądrzej, tym głupiej”.

Moja profesorska pilność gniewała go jako brak szacunku dla własnej osoby. Wydałem wtedy antologię „Postwar Polish Poetry” (książkę zresztą o trwałym wpływie na amerykańskie literackie środowisko) i przygotowywałem do druku moją „History of Polish Literature”. „Czy wyobrażasz sobie Nietzschego układającego antologię? – zapytał Gombro. – Mogę cię usprawiedliwić tylko pod jednym warunkiem: że podręcznik napisałeś dla pieniędzy”. Nie miałem wyboru, odpowiedziałem: „dla pieniędzy”. Naprawdę, choć spodziewałem się jakiegoś dochodu z tej książki (bo przecież miliony Amerykanów polskiego pochodzenia, nie znających już polskiego, mogłyby dostarczyć jakichś dziesięciu tysięcy nabywców), nie to było moim głównym motywem, po prostu zabawiłem się, dyktując z moich notatek do wykładów. Tom ten okazał się najgorzej sprzedającą się z moich książek, co mojej opinii o nic nie czytającej Polonii nie poprawiło. Mimo tych napaści Gombro, jak po jego śmierci napisała mi Rita, lubił mieć „The History of Polish Literature” przy sobie na łóżku, nie znając angielskiego przeglądał ją i chyba przyjemnie mu było znaleźć swoją dużą fotografię na całej stronie.

Nie myślę, że dużo rozmawialiśmy o literaturze, a już o poezji wcale. Zasięg jego lektur w tym zakresie pozostał dla mnie nieznany. Nigdy też nie zadałem mu pytania, czy czytał moje wiersze i jakie. Zdaje mi się, że coś czytał, ale mogliśmy porozumiewać się dostatecznie bez odwoływania się do naszych utworów.

Oczywiście były jego ataki na sztukę. Nie tylko na malarstwo sztalugowe, nawet nie tylko na malarstwo w ogóle, ale na sztukę od jej początków, choć swoim potępieniem nie obejmował, zdaje się, muzyki. Nie występowałem do walki frontalnej. Zresztą wystarczy się zastanowić nad milionami dolarów płaconymi za jeden obraz van Gogha, żeby przyznać, że są u samych może narodzin tego rzemiosła jakieś niepokojące, zbyt społeczne, determinanty. Na malarstwie nowoczesnym Gombrowicz znał się i miał w Vence na ścianach płótna dostarczane przez jego przyjaciół Jarekę i panią Sperling. Raz odwiedzaliśmy ich razem w ich willi nad Niceą.

Nie wiem, jak wypadłoby nasze spotkanie w innej fazie mego życia. W Polsce go nie znałem, prawie wcale nie bywając w warszawskiej literackiej kawiarni.

Zachwyciłem się „Ferdydurke”, ale chyba nie byłoby między nami punktów stycznych. Jak uświadomiłem to sobie znacznie później, należał do sfery społecznej dla mnie niemiłej i chyba to by wylazło. Raz coś z tej sfery liźnąłem: była to wizyta u moich bardzo dalekich krewnych w Warszawie, zamożnych ziemian z Królestwa, która skończyła się źle, zostawiając im przekonanie o dzikich litewskich manierach i jeszcze dzijszych poglądach. Jeżeli pochodziłem częściowo z tzw. ziemiaństwa, choć zbuntowany, to trzeba podkreślić, że na Litwie miało ono zupełnie inną mentalność, jak też że w porównaniu z Gombrowiczem i jego rodziną byłem bardzo ubogi, z dużymi brakami towarzyskimi w wychowaniu i bez dobrej Kinderstube.

W Vence byłem już znacznie bardziej pewny siebie, natomiast między nim a jego dawnym środowiskiem legły lata Argentyny. Miałem szacunek dla jego umysłu, dla śmiałości jego sądów, dla uporów. Jak już gdzieś pisałem, był dla mnie człowiekiem rozumnym, trzeźwo myślącym, poważnym, który potrafił siebie zbudować i dojść do pewnej mądrości, a więc nic z trefnisa, cynika, prześmiewcy.

29.06.1988

Żadnych snobistycznych zagrań Gombro wobec mnie nie stosował, być może świadomy, że nie jestem wrażliwy na kuzynów Kotkowskich. Moje snobowanie się na Wielkie Księstwo Litewskie mogło tutaj okazać się silniejsze, a zwłaszcza przewaga pochodzenia znad rzeki Niewiaży (Niewiaża dzieląca Żmudź od Aukštoty, czyli Górnej Litwy, płynie doliną uważaną za najpiękniejsze okolice Litwy gniazdowej). Czyli miałem w ręku atut i użyłem go, mówiąc, że przecież pochodzi z Królestwa Polskiego, na co bardzo się oburzył i przypomniał, że to jego dziad wyemigrował znad Niewiaży po powstaniu 1863 roku. I przecież swoją powieść „Opętani” drukował pod pseudonimem zapożyczonym od nazwy tamtej rzeki, Niewieski. Źle, moim zdaniem, ulepione nazwisko, bo nasuwa skojarzenie z niewiedzą i po polsku brzmi sztucznie, mało też ma wspólnego z Niewiażą, czyli Nevezys, która to nazwa odnosi się do braku raków – rak po litewsku znaczy vežys.

Zastanawia mnie dotychczas dobra komitywa Gombrowicza i Janki w Vence. Tak niechętna literackiemu środowisku, wzdurliwa i oskarżana o wyniosłość i chłód, teraz jakby znalazła równorzędnego partnera dialogu i częściej była po jego niż po mojej stronie. Nie mogło to ani wówczas, ani później pozostać bez wpływu na niektóre moje sądy; przyznawałem mu wyjątkową trafność ocen. Czytałem dużo rozpraw o wewnętrznym pokręceniu Gombrowicza, ale w porównaniu ze mną wydawał mi się względnie prosty, zgodny z tym, co wyrażał, i z tym, do czego dążył. Myślę, że odgadywał poprawnie moje obszerne rezerwy, te, z których w rozmowie nie korzystałem, które jednak istniały, ale też nie dał się zwieść pozorom mojej równowagi i w pewnych moich odezwanianach się znajdował dozę sprzecznych impulsów i urazów. „Nie pojmuję, jak taka mądra kobieta mogła wytrzymać avec un fou pareil?” – kiedy tak zapytał, musiałem przyznać mu w duchu słusność, nie obrażając się zresztą wcale, bo czyż nie

było w jego zwyczaju odzywać się podobnie o ludziach mu bliskich, np. Ritę nie raz nazywał „malheureuse”: „Qu'est ce que tu racontes, malheureuse?”. Czyli „Co ty wygadujesz, nieszczęsna?”. Nie oznaczało to jednak braku ciepłych wobec niej uczuć. Dla mnie istnienie Rity u jego boku potwierdzało moją opinię o celności jego wyboru. Uroczą, trochę chłopięcą, inteligentną, oddaną, dobrą – czego chcieć więcej? Bawiły mnie później różne wyobrażenia o niej w Polsce, niezgodne z jej osobą i jej rolą wiernej wykonawczyni jego testamentu.